

[archiwum]

Ariko Kato: Schulz i Lille

Bruno Schulz przebywał w Paryżu w sierpniu 1938 roku. Wyjechał stąd nagle, bez uprzedzenia. Nie pożegnał się nawet z Ludwikiem Lillem, u którego przez jakiś czas nocował. „Niech Pan nie bierze mi za złe, że wyjechałem z Paryża, nie pożegnawszy się z Panem. Mam od dawna fobię przed scenami pożegnania i unikam ich zawsze, jeżeli tylko mogę. Wyjechałem zeszłego piątku rano”¹ – napisał do Lillego 2 września 1938 roku już z Drohobycza. Z jego listu wynika, że wyjechał z Paryża 26 sierpnia 1938 roku, nie żegnając się z nikim.

Ludwik Lille, urodzony w 1897 roku, wyemigrował do Paryża w roku 1937. Zaprzyjaźnił się z Schulzem zapewne we Lwowie, gdzie w latach trzydziestych sprawował różne funkcje w kręgach artystycznych. Był członkiem awangardowej grupy Zrzeszenie Artystów Plastyków „Artes” (od 1930), założycielem i kustoszem nowo powstałego w 1934 roku Muzeum Żydowskiej Gminy Wyznaniowej we Lwowie (Lille był żydowskiego pochodzenia)², następnie jego wiceprezesem, a w latach 1934–1935 prezesem Lwowskiego Zawodowego Związku Artystów Plastyków³. Schulz zaprzyjaźnił się z członkami artesu najprawdopodobniej dzięki przyjaciółce, dwujęzycznej pisarce (piszącej w języku polskim i w jidysz), Deborze Vogel.

Rachunek hotelowy wystawiony na „Monsieur Schulz” potwierdza, że pan Schulz przebywał w L’Hotel d’Orient przy rue de l’Abbé-Grégoire 43 od 31 lipca do 7 sierpnia⁴. Siedem razy zamówił śniadanie. Jeśli to Bruno Schulz, to jego po-

¹ B. Schulz, *Księga listów*, red. J. Ficowski, Gdańsk 2002, s. 122.

² Napisał książeczkę o tym muzeum. L. Lille, *Muzeum Żydowskiej Gminy Wyznaniowej*, Lwów 1937.

³ P. Łukaszewicz, hasło *Lille Ludwik*, [w:] *Słownik artystów polskich i obcych w Polsce działających (zmarłych przed 1966 R.): malarze, rzeźbiarze, graficy*, t. V, red. J. Derwojeda, Warszawa 1993, s. 98.

⁴ *Bruno Schulz 1892–1942, Katalog-Pamiętnik Wystawy „Bruno Schulz. Ad Memoriam” w Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie*, red. W. Chmurzyński, Warszawa 1995, s. 129.

był w Paryżu zaczął się najpóźniej 31 lipca⁵. Wiesław Burzyński przypuszcza, że na dworcu powitał Schulza Ludwik Lille lub Georges Rosenberg, brat Marii Chazen⁶, która udzielała Schulzowi różnych rady i dała mu adresy, by mógł się skontaktować z kręgiem artystyczno-literackim w Paryżu. Schulz zamierzał tam zorganizować wystawę swoich prac artystycznych, ale jego pobyt wypadł w wakacje i stolica była wyludniona z powodu wyjazdów na urlopy. Nie spełniwszy swoich marzeń, nieco zagubiony, wrócił szybko do Drohobycza.

Nie wiemy, kiedy Schulz nocował u Lillego. Jeśli nastąpiło to po pobycie w L'Hotel d'Orient, to mógł u niego przebywać między 7 a 26 sierpnia.

Lille po wojnie poświęcił polskim artystom kilka tekstów, które były przeznaczone dla radia. Obecnie są przechowywane w archiwum Biblioteki Polskiej w Paryżu. Poza działalnością artystyczną aktywnie działał także na rzecz artystów polskich w Paryżu. Został prezesem Zawodowego Związku Polskich Artystów Plastyków we Francji. Zmarł w Paryżu w 1957 roku⁷.

1

Ludwik Lille, *O Brunonie Schulzu, poecie i malarzu, audycje w Sekcji Polskiej Radia Francuskiego*⁸

Jest późna jesień.

Nie ma słońca.

W powietrzu ręce niewidocznych rybaków zawiesiły sieci o oczkach tak drobnych, że ledwo oddech ludzki przez nie przedostać się może.

Sieci są szare, czasem niebieskawe.

Raz zwisają jak płachty leniwie podbijane wiatrem.

Raz owijają całe domy lub złośliwie kładą się na drogach, zasłaniając je przed oczyma przechodnia.

Mgła. Mgła. Mgła.

Z tej mgły – im dalej, coraz gęstszej – wychylają się domy.

Sine domy, koślawe domy, krzywe domy.

Stoją, kusztykają, biegną coraz szybciej aż ku końcowi ulicy.

Potem droga urywa się nagle, jak nad przepaścią.

5 Według Jerzego Ficowskiego Schulz „wyjechał w ostatnich dniach lipca”. J. Ficowski, *Regiony wielkiej herezji i okolice. Bruno Schulz i jego mitologia*, Sejny 2002, s. 80.

6 W. Burzyński, *Schulz w Paryżu*, „Polityka” 1983, nr 7, s. 9.

7 Wystawę pośmiertną jego prac zorganizowano w 1957 roku. Materiały tej wystawy obecnie znajdują się w archiwum Biblioteki Polskiej w Paryżu.

8 Biblioteka Polska w Paryżu, nr inw. 1351, K. 29–35. Według *Katalogu rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, Oficyna Poetów, Londyn 1969, R. 4, nr 4, s. 12; Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, Biblioteka Narodowa w Warszawie, *Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, t. VII, sygn. 1136–1359, Paryż–Warszawa 1996, s. 174.

I znów ślimacząc, kusztykając i biegnąc, nowe domy rosną na nowej ulicy.

Z pierzyny mgły wychyliły się dwa szare worki.

Potem szerniały, potem dostały rąk, ramion i twarzy.

„Gdzie mieszka malarz i poeta Bruno Schulz?” Postacie poruszyły głowami jak dwie drewniane kukielki, błysnęły oczkami jak paciorki.

„Tam” – pokazały. I przepadły.

„Tam” stoi jeden dom i drugi, i trzeci.

Brodzimy w pierzynie, własnych nóg nie widać ani twarzy, tylko oddech idzie smugą z ust jak para z czajnika.

Stoi człowiek.

Nogi w pierzu schował.

Brzuch okrągły jak drewniana wypolerowana kula.

Na brzuchu złoty łańcuch i dwa obwarzanki.

Potem głowa jak mniejsza kula, na której fryzjer niezgrabnie przykleił trochę włosów u czoła, dwa kółeczka zamiast wąsów i jasny, filuterny ogonek – bródkę.

„Gdzie mieszka Bruno Schulz?”

Z ust postaci robi się jajko.

„Profesor –

(Jajko przepadło w otchłani przełyku)

– Schulz mieszka tu”.

Za plecami drewnianej kukły. Przez mgłę na podwórze. Dwa badyle sterczą zapomniane przez jesień.

Zeschły krzak róży, który chyba nigdy nie rodził.

Mgła jak szal biały wije się między nogami, dookoła głowy.

Wejście frontowe, paradne, na trzech stopniach.

Zamknięte.

Pewno zawsze zamknięte.

Boczne schodki, inne wejście. Okna założone okiennicami.

Drzwi zaparte. Słysząc tylko echo własnego pukania.

Czy jest tam ktoś w tym domu?

Czy mieszkańcy pochowali się przed natrętem?

Znów na ulicę.

Drewniana kukła z wąsikami stoi, gdzie stała.

Kółka wąsików poruszyły się. Szczęka drgnęła. Podniosła się i opadła jak w mechanicznej zabawce.

„Profesora – mówi, oddzielając każde słowo –
nie ma

w domu?”

„Nikt nie odpowiada”.

„Może wyszedł na chwilę”.

Wyszedł na chwilę założywszy okiennice na okna, przewiesiwszy kłódkę na skoblu.

Wyszedł w mgłę.

■

Inny dzień.

Wieczór.

Drzewa wzdłuż drogi. Czarne z czarnymi nagimi gałęziami. Za nimi świeci olbrzymia taca miedziana. Niewidzialne ręce opuszczają ją coraz niżej i niżej.

Stała.

Błysnęła raz jeszcze i przepadła. Tymczasem drzewa zaczynają wrastać w niebo nocy aż zmieszają się z nim. Uratowały się tylko sine domy, uratowały się przed nocą, a teraz straszą tylko białym tynkiem. To chwieją się, to kołyszą, to zmartwieją bez ruchu.

Na podwórzu Schulzów noc starła badyle.

Zaschły krzew róży przepadł. Ledwo widać schody i drzwi.

Pukamy.

Cisza. Pukamy raz drugi.

Nikt nie odpowiada.

Raz jeszcze.

Nagle rozwarły się drzwi tak szybko, jakby ktoś czyhał za nimi.

Olbrzym. Olbrzym w sukniach kobiety. Za olbrzymem kuchnia i dwa cienie wolno posuwające się wzdłuż ściany.

„Pan śpi”

Znów jesteśmy na drodze. W pobliżu widać ognik papierosa, potem sylwetkę: to drewniana kukła.

„Był pan u pro-fe-sora?”

„Byłem”

„Widział pan pro-fe-sora?”

„Nie”

„Ach tak, już jest za późno”

„Ósma godzina za późno?”

„Profesor jest zmęczony i śpi”

O ósmej godzinie w miesiącu wrześniu.

Jeszcze jedna wędrówka o wcześniejszej porze. Miedziana taca waha się, czy zapaść się. Dzień dobiega końca.

Olbrzymka okazała się zwykłą kobietą mówiącą z ruska.

Kuchnia jest kuchnią jak w każdym innym domu.

Cieni – siostr profesora – nie ma w domu.

Wpuszczają mnie do drugiego pokoju. Wydaje się ogromny. Na stole stoi lampa oświetlająca go słabo. Białe łóżko rozesłane jest na noc.

Nagle jakby od ściany oderwał się cień.

Idzie ku nam. Im bliżej jest lampy, tym staje się wyraźniejszy.

Pełnieje. Nabiera namacalnych kształtów człowieka.

Widać małą głowę gwałtownie zwężającą się ku dołowi, parę głębokich oczodołów, w których migają ruchliwe światełka, długie, cienkie ramiona i cieniutkie nóżki.

Podchodząc, postać wykonuje szereg dziwnych ruchów. Podciąga ramiona ku górze, podnosi je, opuszcza.

W pokoju słychać chrzęst, jakby skrzydeł nietoperza.

Wtem postać zaczyna mówić. Głos początkowo niepewny, załamujący się zyskuje na sile. Czarne guziczki lśniące w głębokich oczodołach zapalają się. Urok i czar płynie od tego człowieka.

„Pan mówił (to było po ukazaniu się powieści Schulza *Cynamonowe sklepy*), że mam pewne podobieństwo z Kafką.

Pan zna Kafkę?

Co za wspaniały pisarz!

Ale wydaje mi się, że to co napisałem jest różne od Kafki”.

W tym jednym zdaniu Schulza nie było nic z oburzenia małych, którzy w czyjejś uwadze widzą powód do obrazy.

Była tylko słodycz i prostota człowieka, który w drugim potrafi odnaleźć i ocenić cudze wartości.

I świadomość artysty, że jego środki, środki i cele drugiego artysty są różne.

Za drzwiami słychać człapanie nóg.

Znów powtarza się podciąganie ramion.

Odchodzę.

„Proszę mi wybaczyć – nieśmiałym głosem mówi Schulz – ale jestem taki zmęczony...”

■

W tym Drohobyczu utajonym w sinotynkowanych domach i kamiennych wilkach, stojących sztywnie na głównych ulicach miasta, chodził Bruno Schulz do szkoły.

Potem przeszedł na lwowską politechnikę, na architekturę.

Sen tych, którzy chcą być blisko sztuki i jednak przeżyć życie bez głodu.

Ale czy wojna była tego powodem, czy niechęć, czy może rozczarowanie, że zamiast sztuki znalazł matematyczne formuły – Bruno architektury nie skończył.

Wrócił do Drohobycza.

Tu musiał go ktoś pchnąć czy zmusić. Bo Bruno Schulz wniósł prośbę. Prosił, by na podstawie przebytych studiów itd. itd. mógł zostać nauczycielem rysunku w gimnazjum.

Papiery nie mają twarzy. I nikt z podpisujących ten papier nie widział przerażonych oczu Brunona Schulza.

Papier podpisany wrócił i Schulz otrzymał posadę z przydziałem do Drohobycza.

Jak ten najwstydlivszy z wstydlivych, najlękliwszy z lękających się był w stanie utrzymać w posłuszeństwie stado trzydziestu chłopaków – nie wiadomo.

Może poskramiał ich własnym strachem.

Lekcje w szkole przynosiły mu i sprawiały ogromne zmęczenie.

Ale życie Schulza rozpoczynało się dopiero w domu, poza drzwiami, których strzegł olbrzym w spódnicy oraz cienie dwóch sióstr.

Tam ukryty przed oczami świata Bruno Schulz rysował.

Po żółtych kartkach taniego, conceptowego papieru, jedynego, którego się nie bał, wodził Schulz zaostrozonym ołówkiem.

I rósł na tej kartce: on sam.

Sam i samotny.

W wysokim, sztywnym kapeluszu, lub z obnażoną, bezbronną głową. Szedł przerażony, ścigany oczyma lub biczami Menad rozwścieczonych. Klękał przed nimi, oszalałymi, przestraszony, zagubiony. Czasem znów stanął z boku i rozszerzonymi do pęknięcia żrenicami patrzył, jak te nagie, oszalałe Menady gonią również oszalałe konie. To były tematy rysunków Brunona Schulza. W czasie, kiedy młodzi malarze w Polsce przejmowali się ekspresjonizmem niemieckim, kiedy z nabożeństwem oglądali pierwsze reprodukcje Picassa, które dotarły do Polski: stół, gitara, paczka tytoniu i fajka.

Obok tych rysunków, czasem podmalowanych akwarelą, i po nich zaczął się u Schulza okres grafiki.

Rozmawiałem z kilkoma ludźmi, z których każdy był tym, który pierwszy dał Schulzowi mosiężną płytę do akwaforty i pierwszy zwrócił jego uwagę na nowe możliwości, jakie mu da grafika.

Ale wiele z tych akwafort na mosiężnej płycie – to były tak zwane „cliché verre”, gdzie malarz ostrą iglicą rani jednostajną powłokę czarnego lakieru, a reszty dokonuje światło i światłoczuły papier jak w odbitce fotograficznej.

Tak jak z grafiką mógł się jeszcze zapoznać, tak nigdy nie mógł przełamać lęku wobec kawałka płótna i kilku farb olejnych.

Próbował, potem olbrzymka wyniosła je na ganek, gdzie zapomniane walczyły z drohobyckim klimatem.

Pisać zaczął późno. Po czterdziestce.

A może i przedtem pisywał, może krył się, może niszczył?

U Schulza w Drohobyczu widziałem rękopis *Cynamonowych sklepów*. Był pisany tak, jak rysował – ołówkiem: dziwnie na skos poprzez kartki jakiejś książki handlowej, pewno pozostałej po ojcu.

Tam na „winien” i „ma” Schulz wpisywał swój przyszły stan posiadania – w literaturze.

■

Cynamonowe sklepy są książką malarza.

Przez swą wizję.

Ale malarz w nich nie powtarzał już raz pędzlem namalowanych obrazów.

Tylko słowem tworzył nowe.

■

Na rok przed wojną ktoś zapukał do mojej pracowni.

Nieoczekiwanie zobaczyłem we framudze drzwi znaną mi postać.

Kilka podciągnięć ramionami, kilka ruchów rękoma niby żaglami i Bruno stał w pracowni.

Bruno był nieszczęśliwy w Paryżu.

Bruno czuł się zgubiony wśród milionów ludzi.

Bruno żalił się, że jest dla wszystkich obcy.

Bo nagle, przerzucony w 24 godziny maszyną z jednego krańca świata na drugi, stracił swoją ochronę i puklerz, który w każdej chwili odgarniał od niego wszelkie niebezpieczeństwa.

Tu w Paryżu nie było olbrzyma w sukniach kobiety, tu nie było bezszelestnych sióstr – cieni.

Bruno był sam, nagi, bezbronny. Walił się na niego Paryż jak przeolbrzymia, potworna nierządnicą z Babilonu, wszystkich swą płcią przerażająca.

I wtedy nabrał Paryż dlań smaku goryczy, a wszystko, czego się tak przerażony dotknął – zdało mu się piołunem.

Luwr go rozczarował.

Gioconda była brzydka.

O przekładach, o których mówił z ludźmi, tłumacze słuchali – nie słuchając.

Rysunki, które przywiózł, oglądano, ale nikt nie spieszył się z ich wystawieniem czy wydaniem.

A wszędzie, wszędzie ta kurtyzana babilońska.

Pewnego dnia Schulz uciekł z Paryża.

W walizie uciekający zabrał swe rysunki, gdzie na miejsce Menad oszalałych – brodaci starcy zasiedli dookoła stołów. I prezenty dla opiekuńczych sióstr w Drohobyczu: Ręczniki z Galeries Lafayette.

Powrót był uwerturą, uwerturą końca.

Do *Cynamonowych sklepów* i *Sanatorium pod Klepsydrą* doszedł nowy rękopis *Ostatnia wieczerza*.

Ostatnia wieczerza Brunona Schulza pisarza. Brunona Schulza twórcy. Brunona Schulza człowieka, któremu Bóg dał życie, a któremu ludzie mieli je odebrać.

Kiedy Niemcy żywe istoty dusili i palili w komorach – przyjaciele chcieli ratować Brunona Schulza.



Bruno Schulz, **Portret Mieczysława Jozta**, 1931.
Fotokopia ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu

Ale on, który był pełen okropnego lęku całe życie, nie lękał się najokropniejszego – śmierci w męczarniach.

I poszedł.

Poszedł już nie w mgły, ale w noc, z której nikt nigdy nie wraca.

2

Bruno Schulz, Portret Mieczysława Jozta

W teczce nr inw. 1351 zawarta jest także reprodukcja portretu mężczyzny lub chłopca (nr inw. 1351, k. 37). Portret jest podpisany przez Schulza „Bruno Schulz 1931”. Według informatorium jest to „Fotokopia rysunku B. Schulza *Uczeń*, przedstawiająca Mieczysława Jozta. Rysunek został opublikowany w „Oficynie Poetów” [1969, R. 4, nr 4 – A.K.] i omyłkowo podpisany jako wizerunek Schulza autorstwa Ludwika Lillego; sprostowanie zamieszczono w następnym numerze”. Zob. Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, Biblioteka Narodowa w Warszawie, *Katalog rękopisów Biblioteki Polskiej w Paryżu*, t. VII, sygn. 1136–1359, Paryż–Warszawa 1996, s. 174. Historię tę opisuje Czesław Bednarczyk w liście do Tadeusza Święckiego datowanym 12 grudnia 1969 (nr inw. 1351, k. 36).